TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II.Nr.20 /28/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 14.V. 1942

Kochane trampy.

Do mrocznego pokoju hotelowego w Paryżu przy Rue Notre-Dame-Des-Victoires weszło z szumem kilku dryblasów. Witali się z przesadną, nieco skrępowaną rewerencją. Widać, odwykli już od gładkich form w długiej pełnej rubasznych konceptów, włóczędze po świecie. To co jeszcze zostało z matczynych przestróg i szkolnego wychowania, wydobywało się teraz z trudnością, jakby wyszarpywane ze snu zapomnienia. Być może jednak,że nieśmiałą nieporadność trzeba było złożyć na karb ich młodzieńczości. Byli to chłopcy siedemnasto i osiemnastoletni, uczniowie szkół średnich, wyrwani raptownie z domów rodzicielskich i wymieceni przez burzę dziejową na szerokie gościńce świata. Teraz, po długiej wędrówce, schronili się w gimnazjum polskim w Paryżu, bo wojsko jako zbyt młodych przyjąć ich nie chciało. Na wiadomość, że jestem w Paryżu, przyszli mnie odwiedzić.

Odziani byli malowniczo. Trudno było sobie wyobrazić fantastyczniejszą gamę kolorów. Od zrudziałej czerni poprzez zgasły karmin aż do grynszpanowej zieleni. Ale wszystko ścieniowane było jakimś spłowiałym mrokiem, przypominającym Rembrandtowskie malowidła, co jeszcze podkreślało wątłe pasmo światła, idące z ciasnej uliczki. Wyglądali rozpaczliwie i komicznie zarazem. Wystrzępione spodnie, za krótkie rękawy, kapelusze nieokreślonych kolorów, z kryzami fantazyjnie rozwianymi, krawatki o wzorach, wywołujących osłupienie. Fasowali to kawałkami po świecie i nosili się w tych swoich, poraz pierwszy na własną rękę zdobytych strojach, z pogardliwą godnością. Kiedy wlekli się gromadą po bruku Paryża, poczciwi Francuzi ustępowali im z drogi i odwracali się w oszołomieniu. Teraz siedzieli naokoło stołu i cedzili słowa z naprężoną uwagą, by broń Boże nic nie uronić z świeżo, w samodzielnej wędrówce zarobionej powagi. Twarze ich były blade i wychudłe, ale jeszcze z tym typowym sztubackim, niewykształconym wyrazem, który zazwyczaj w szkole podszeptywał kolegom różne śmieszne i trafne przydomki.

Opowiadali o swoich przygodach. Na rozkaz władzy wojskowej opuścili miasto rodzinne, nie mając nawet czasu pożegnać się z rodzicami.

I oto zaczęła się ich epopeja. Rzuceni na gościniec, wędrowali pieszo, zdobywali cudem rowery, które im bomby lotnicze potem na strzępy pozrywały, wieszali się samochodów, gdzieś się pożywiali, gdzieś spali. Tak przeszli całą Polskę i granicę Węgier, niepisanym sprytem zwiali z obozów koncentracyjnych i wreszcie wylądowali w Paryżu. Relacja była zrazu skąpa, oschła, utrzymana w stylu powściągliwego sprawozdania. Czułem, że coś ukrywają, że łączy ich tajemnica klanu, śluby braterstwa przygody. A właśnie to przemilczane urzekło mnie i niepokoiło. Cóż za historia! Jakby wymyślona przez romansopisarza, obdarzonego bogatą wyobraźnią! Młodzi chłopcy, żyjący w dostatku i pod czułą opieką kochających rodziców, naraz wbrew woli rzuceni na tułaczkę! Jak się zachowali, jak sobie dali radę? A ileż bogactwa w tych właśnie drobnych codziennych przygodach, w tych zmianach nastrojów, trwogach i figlach, fortelach i zuchwałościach pełnych humoru. Zacząłem ich zagadywać, przyznaję, dosyć podstępnie.

Długo trwało nim odtajali wreszcie i dali swobodny upust swojej właściwej naturze. Teraz rozlegały się kaskady śmiechu, krzyżowały się dowcipy i wzajemne żartobliwe docinki. Ujawniła się w całej krasie ich zdrowa, szumna i pełna fantazji młodzieńczość. Przygody ich nabierały kolorów i bogactwa, stawały się żywe pulsującym życiem, występowały w szczegółach pełnych plastyki. Jędrność ich języka, epitetów i określeń była aż niepokojąca i zapewne pod jej wpływem więdłyby uszy matek i opiekunów. Ale zato dosadność i pomysłowość w słownictwie była wprost zachwycająca. Rodził się tu na oczach nowy język trampów polskich, na który złożyła się gwara sztubacka wspólnie z groteskową rubasznością epitetów koszarowych i Bóg wie jakich wyrażeń, połapanych w drodze. Biedni, stęsknieni rodzice załamywaliby ręce nad swoimi zbłąkanymi pupilkami. Cóż się stało z tych układnych, dobrze wychowanych chłopców! Zmiłowanie Boskie!

Ale trzeba było wysłuchać ich przygód, zdumiewać się bogactwem pomysłowości w najtrudniejszych sytuacjach, śmiać się do rozpuku z nieprawdopodobnych kawałów, drżeć nad zuchwałością godną Zagłoby - by całym sercem przylgnąć do tych kochanych chłopców. Ileż w tym animuszu polskiego, ileż zdrowej tężyzny, ileż odwagi i zaradności życiowej. Ci chłopcy przeszli twardą szkołę i zdali egzamin celująco. Zahartowani wczesnym doświadczeniem, przeorani serdecznym cierpieniem i nieukojoną tęsknotą, wyrosną na dzielnych obywateli, z których kraj będzie miał pociechę.

Pewne strony charakteru wstydliwie ukrywali. Czasami zagadnąłem tego lub owego o rodzinę. Odpowiedzią było szybkie spłoszone spojrzenie jakby pełne wyrzutu. Dawali informacje rzeczowe, wypowiedziane głosem opanowanym. Owszem, ostatnią wiadomość otrzymali na Węgrzech, ale odtąd nic więcej. Nie uszedł mojej uwagi wyraz tkliwości w oczach. Wiedziałem że nie należy zbytnio ten temat rozwlekać, bo prawem pierwszej męskości jest skrytość, że wrażliwe pod powierzchnią tej junackości kryje się serce i tęsknotą wypełnione, wciąż jeszcze rozełkane za czułym ramieniem matki, pozostawionej w kraju.

Byli upokorzeni, że nie chciano przyjąć ich do wojska. Szkołę, powiedzmy to otwarcie, traktowali z nieukrywanym szyderstwem. Nauczyciele nie mieli z nimi łatwego życia. Cóż zrobić z takimi uczniami, którzy czują się weteranami wojny, a czas nauki odmierzają dniami, które zbliżają ich do upragnionej chwili założenia munduru? Biura werbunkowe miały niemało z nimi kłopotów. Chłopcy wciąż na nowo stawali w ogonku, wciąż nanowo próbowali przekonywać, że na nich już czas i zawsze odchodzili z nosem spuszczonym na kwintę. Trzeba było czekać. Urzędnicy w tych biurach znali ich dobrze i mieli z nimi dużo uciechy. Dziś już

spełniły się ich marzenia. Większość z tych chłopców wydostała się z Francji i służy w polskim wojsku. Są lotnikami, spadochroniarzami i pancerniakami.

Likwidując sprawy cywilne, powierzyli mi swoje pamiętniki z tej malowniczej peregrynacji po Europie. Posiadam ich kilka. Zawsze z napiętą uwagą wczytuję się w to pismo pisane maczkiem i mało jeszcze wyrobione. Jest to nieprzebrana skarbnica przygód niezwykłych, z której mogłoby czerpać pomysły dziesięciu pisarzy powieści awanturniczych. Niejeden jednak nie potrafiłby oddać tego samorodnego i niesfałszowanego w niczem humoru, niejednemu zabrakłoby kolorów na dorównanie plastyce i barwności tych młodzieńczych opisów. Bo artystą było tu samo życie i świeżość odczucia, nie zaś ufryzowana literackość. Pamiętniki te stanowić będą dla następnych pokoleń źródło wymowne naszych czasów i zaświadczą chlubnie o naszej młodzieży. Rozpiętość uczuć i nastrojów jest bardzo szeroka. Naprzykład taki opis chrztu ogniowego: "Zeskakujemy w pędzie z rowerów i wpadamy do rowu, pełnego już żołnierzy i cywilów. Gdzieś obok nas kwik trafionego kulą konia oszałamia nas zupełnie. Ktoś niedaleko od naszego schronu woła o ratunek...jest ranny. Nikt nie zważa na te krzyki, chowając głowę głęboko do rowu. W tej chwili podjeżdża do naszej grupy oficer na koniu. -Wojskowi? - zapytuje. -P.W.- odpowiadamy. - Macie broń? - Mamy! - To walcie w nich ile wlezie! My będziemy flankować z boku! - Ostatnie zdanie krzyczy już, galopując ze swym oddziałem w stronę Niemców. - Nie ma co - mówię sobie z wisielczym uśmiechem na ustach - zabawimy się w wojnę. Ładujemy prędko karabiny, obok nas leżący żołnierze otworzyli już ogień. Robi się piekielna strzelanina, przy akompaniamencie dzikich kwików koni i nawoływania żołnierzy. Po chwili zaczyna grać lekka artyleria. Co chwila słyszymy świst, wybuchy i wołanie o pomoc rannych. Czuję, że robi mi się szalenie gorąco i szalenie wesoło. Nie wiem, czemu mi jest wesoło, a nie smutno. Może to tak zawsze jest na wojnie? A może zgłupiałem do reszty?"

Albo kapitalna scena po ucieczce z obozu koncentracyjnego na Węgrzech: "Wieczorem dojeżdżamy do wielkiego miasta. Spać nie ma gdzie, to też część kładzie się w autobusie, część w jatkach stojących na rynku, a ja i czterech "kumplów" idziemy mimo późnej godziny połazić po mieście. Zaraz przy rynku porywa nas w ramiona dwóch ululanych żołnierzy węgierskich i ściskają nas, ciągną do knajpy, skąd rozbrzmiewa "czardasz" grany przez cyganów. Włazimy do wnętrza, zakurzonego dymem tytoniowym, rozbrzmiewającego wesołym śpiewem. Żołnierze ciągną nas do stołu i przedstawiają swojej paczce, która podniecona winem, wnosi na naszą cześć okrzyki i bierze w objęcia. Pijemy z ogromnych pucharów wino, paląc ich papierosy i śpiewając nasze żołnierskie pieśni. A "czardasz" idzie za "czardaszem". Muzykalni Węgrzy śpiewają, rąbią pięściami w stół przytupują i puszczają się w tany. Koło 1-szej w nocy zaczynają walić potężnymi szklanami o ścianę "na szczęście". Sypie się szkło, sypią dowcipy, płyną coraz to inne piosenki skoczne i bardzo melodyjne. Nad ranem wychodzimy z knajpy. Świeże powietrze działa wybornie na kurzące się łby i ochładza znakomicie. Żołnierze chcą nas przemycić do swoich koszar, ale po namyśle nie zgadzamy się na to. Poco narażać ich na awanturę z dowódcą. Wreszcie Węgrzy wynajmują dla nas jakąś szopę ze sianem i oznajmiają, że jutro uciekną ze służby, by się z nami pożegnać."

Tak możnaby cytować bez końca. Jedna scena kapitalniejsza od drugiej. Kiedyś w rozmowie ktoś wyraził obawę, co z tej młodzieży będzie Ja osobiście nie podzielam tej obawy. Wiem, że zarówno młodzież w kraju jak i na wygnaniu, stanowić będzie dla Polski szczęście. Wierzę w jej wartość i dzielność, gdyż chociaż pozbawiona szkół i wcześnie na twarde doświadczenia narażona, przechodzi szkołę najbogatszą, szkołę mądrości

życia. Czyż trzeba specjalnie podkreślać jej gorący patriotyzm i bohaterstwo?

Zenon Kosidowski

Czerwone wino.

Bardzo wcześnie jest jesień. Coraz wcześniej słońce
Za jezioro z ołowiu w drżące spada trzciny.
Dzień jest poto, by sennie płynęły godziny,
A wieczór, by oglądać gwiazdy spadające.

Renoir chyba w sadzie pomalował śliwy
Tak ich skórka zielona a brzegiem liliowa.
I wszystko tu coś znaczy, tylko brak nam słowa
Ach! Jak tu odpowiedzieć: "Czy jestem szczęśliwy?"

Jak nurek schodzi w mroki tajemniczych głębin,
Gdzie się przepych koralu bogato rozpina,
Tak ja wypijam wzrokiem czerwoność jarzębin,
Lub próbuję wargami czerwonego wina.

Norwid.

Imię twoje jak czarne i strzeliste cyprysy
A wkoło greckie kolumny.
Słowa twe - odskrobane starożytne napisy,
Ty - dumny!
Gdzie idziesz - głęboki aksamit traw
Malachitowy,
W ręku twoim - księga praw,
Sowa u głowy.
Historia układa fałdy swych szat
Nad wodami potoku,
Kraj nasz - ziemia.
Tysiąc lat
- Jednego roku.

Skąd masz róże? Ziemia leży
Śniegiem pokryta.
Idziesz, gdzie Kopernik w szubie, w mróz na wieży
Z gwiazd czyta.

Jan Lechoń

Pożegnanie przyjaciela.
/Św.p. Stanisław Rogoż/

Niedawno dostałem z Londynu list, a w nim wiadomość:"A teraz dobra nowina. W Rosji odnalazł się Rogoż, zwolniony z więzienia. Będziemy się starali sprowadzić go tutaj". Było to miesiąc, może dwa miesiące temu. Dziś nadeszła depesza:"Biedny Rogoż zmarł w Rosji". I prośba, by napisać o nim wspomnienie.

Siedzę przed pustym papierem i usiłuję pisać. Nie mogę opędzić się bolesnym, najsmutniejszym myślom. Wszystko w nich gmatwa się, jak treść tych dwu wiadomości. Sprzeczność ich jest przerażająca, lakoniczność rozpaczliwa. Brak jakichkolwiek, choćby błahych szczegółów, ma w sobie coś dręczącego, jak głód. Na co on umarł? Na Rosję?

Szukam go w pamięci żywego, ale jakże mi trudno przebrnąć przez tę śmierć! Ostatni raz widziałem go, zdaje się piątego września 39 r., w Warszawie, potem jeszcze kilka razy rozmawialiśmy telefonicznie. Miał przyjechać do Lwowa ale gdy tam się znalazłem, dopytywałem się o niego napróżno. Odtąd straciłem wszelki ślad po nim. Kiedy go aresztowano i co się z nim działo, nie wiem do dziś dnia.

Gdy myślę teraz gdzie mógł był przebywać, gubię się jak w pustce w tych ogromnych przestrzeniach, które i ja kiedyś przewędrowałem. Po trzech latach spędzonych w niewoli rosyjskiej nabrałem pewnego wyobrażenia o tej próbie życia, ale wobec jego doświadczeń jest ono z pewnością bardzo niedostateczne. Odnalazł się, został zwolniony. Słynna "amnestia" otworzyła przed nim drzwi. Ale wyszedł na wolność tylko po to, by umrzeć. Czy zamorzono go w więzieniu?

Jest taki czas, że nawet o zmarłym przyjacielu nie można wiedzieć więcej, niż do rozdarcia potrzeba. Nawet najosobistszej pamięci nie wolno podróżować po świecie bez zatrzymania. Oceany są po to aby je mijać w sekundzie, ludzie aby tonąć w tajemnicy nie do przebycia.

- - -

Stanisław Rogoż był dziennikarzem. Redagował przez pewien czas "Tygodnik Ilustrowany", potem był sekretarzem redakcji "Gazety Polskiej" Lubił swój zawód, umiał pracować niestrudzenie. Brał na siebie mnóstwo obowiązków i robił to z pewną zachłannością. Należał do typu tych dziennikarzy, dla których redakcja ma coś z narkotyku. Był skrupulatny,każdy rękopis przeglądał pod światło, nic nie uchodziło jego uwagi a już ze szczególną troską przestrzegał doborowego języka.

Zapracowany zawsze po uszy niewiele miał czasu, by zasiąść do pisania większych rzeczy. Ale wszystko co wyszło z pod jego pióra cechowała inteligencja, rozwaga i gruntowność sądu. Szereg sprawozdań krytycznych i esejów literackich, drukowanych zwłaszcza w "Wiadomościach Literackich", może uchodzić za wzór w tej dziedzinie.

Miał swoje ukryte ambicje i szerokie zamiary, marzył o paru pracach, głównie z zakresu historii i filozofii kultury. Odkładał je stale na inne czasy, na przyszłość. "Pojedziemy do Jordanowa - mawiał często-tam zabierzemy się do roboty. Sześć dni pracy a w sobotę wieczór u pana aptekarza": Do Jordanowa - to znaczyło na prowincję, daleko od świata. W ciszę i samotność. W jego ukochane podgórskie strony.

Pochodził z Krakowa, wyniósł stamtąd spokój i przyzwyczajenie do solidności. Był doktorem filozofii i prawdopodobnie jeszcze z czasów studenckich pozostał w nim ujmujący kult wiedzy i nauki. Nie znosił mydłkowania, popularnej u nas arogancji sądów, tego wszystkiego co możnaby nazwać cwaniactwem intelektualnem. Za to nic nie wzruszało go bardziej, niż głęboki wysiłek i udana praca. Samotnik zakochany w książkach nie uciekał od życia - przeciwnie najciekawszem uchem nasłuchiwał jego

wydarzeń i przemian. Interesowało go wszystko, od sztuki do polityki. Wszędzie szukał poprawy człowieka i świata, w którą wierzył niezłomnie. Jeśli nawet zbyt ufał swej wierze, dawał mu do tego prawo jego humanizm, nieobumarły pod kurzem redakcyjnym.

Być może są to w sumie cnoty skromne. Cenność ich jednak wzrastała do niezwykłego poziomu, bo człowiek ten gromadził je w sobie w jakości doskonałej.

Ale nietylko z powodu tych zalet strata jego jest nieodżałowana i nietylko dlatego rozrywa się serce gdy pomyśleć że nigdy go nie spotkamy. Rogoż miał w sobie jeszcze jeden talent, największy i najważniejszy dla bliskich, w którym trudno mu było dorównać. Umiał być przyjacielem, jak mało kto. Była to przyjaźń pełna ciepłej dyskrecji, bez narzucania,nie jednostronna, zawsze gotowa do świadczeń. Mówiliśmy - galicyjska. Jego miękkość sprzyjała zaufaniu a dobroć nie była wysiłkiem. Można z nim było rozmawiać jak ze sobą samym, wierzyć mu i nigdy się nie zawieść. Kochany, jak bardzo przydałbyś się teraz!

Rogoż miał serce zdolne do niewyczerpanej naprawdę czułości. Przychodzi mi na myśl szczegół, który wyrazi to może najlepiej. Oto istniał dla niego ktoś ważniejszy, niż nawet najbliższy przyjaciel. Była to Haneczka, jego przybrane dziecko. Nie widziałem nic tak wzruszającego, jak to uczucie. Całe swoje życie wypełniał pamięcią i normował według bezustannej myśli o kilkuletniej córeczce. Wszystkie urlopy i wyjazdy układał tak, że nasamprzód urządzał Haneczkę i do niej dostosowywał swoje dalsze plany. Wieczorem gdy Rogoż pracował w redakcji, regularnie koło ósmej był do niego telefon. To Haneczka mówiła mu dobranoc. Czasem opowiadała mu o spędzonym dniu, czasem omawiali jakieś wyprawy i wizyty. Ponieważ mieszkali osobno, wiadomo było że niedziela należała do Haneczki, Rogoż widoczny był dopiero wieczorem. "Haneczka dostała nową sukienkę", "Haneczka była w ogrodzie zoologicznym" - ile razy pamiętam, zaczynał w ten sposób rozmowę! Nikt nie będzie bardziej osierocony na świecie, niż to dziecko, które znalazło i postradało taką miłość.

W życiu Rogoża zamknęło się jeszcze coś szczególnie bliskiego naszym ostatnim pokoleniom, jakiś fragment polskiego losu. Ukrywał się jak niedowiarek, gdy chodziło o własne powołanie a do wyrzeczeń miał w sobie prawie ascetyczną gotowość. Zdolności swoje uważał za mniej ważne, niż zadania, jakie narzucał mu świat i życie. Może padł na niego cień ludzi Żeromskiego a może to był poprostu taki silny instynkt społeczny. Gospodarował sobą rozrzutnie i bez wyrachowania ale nie tracił pogody i optymizmu. Myślał, że może pracować za dwu, za trzech i że wszystkiemu podoła.

W niejednym grobie polskim zamknęło się życie szlachetne a niewyzyskane do głębi. Ale chyba mało kto odkładał zeń tyle na przyszłość - tak straszliwie okrutną. Tam gdzie spoczął Rogoż może nikt po nim nie płacze. Ale zewsząd dokąd los zagnał oddanych mu ludzi, spieszą do niego przyjaciele. Nie poskarżył się przed nami cichy człowiek, nie wiemy co przywaliło go do ziemi. Nie uścisnęliśmy ręki, którą tyle razy do nas wyciągał. Nie daliśmy mu nic, gdy najbardziej potrzebował przyjaźni. Odszedł od nas w najsmutniejszy sposób, w jaki można odejść, odcięty za życia i opuszczony przy śmierci.

Dziś jest daleko od świata. W ciszy i samotności, do której tak tęsknił. Dozwól, Boże, by znalazł tam życie, które zawsze odsuwał na kiedyindziej. Bo wiemy że był dobry, ale boimy się myśleć czy był szczęśliwy.

Kazimierz Wierzyński

Dwie Marsylianki.

Spotykałem się z nią często. Pierwszy raz wyszła mi naprzeciw w całym swoim pięknie i romantyzmie rewolucyjnej Francji na Polach Elizejskich pewnego 14 lipca, poprzedzona batalionem strzelców alpejskich i trójkolorowym sztandarem republiki. Przywitały ją kwiaty, cylinder Doumergue'a i uśmiech tysiąca ulic paryskich, które zdążyły już zapomnieć, że przy jej urodzinach spadała głowa Ludwika i wzdłuż Sekwany lała się krew menuetowych markizów. Marsylianka była dla swego kraju zawsze symbolem radości życia, obojętne czy ją śpiewano na barykadach trzech rewolucji XIX wieku czy nucono w smutnych dniach Sedanu a Paryżanin miał do niej sentyment ojcowski i przywiązanie z czasów, gdy jako jeden z miliona bezimiennych poilus Focha i Clemenceau śpiewał ją codziennie nad Sommą i na przedpolach Verdun razem z "Madelon" i "Auprès de ma blonde". Strofy Rouget de l'Isle'a stały się podówczas modną piosenką twierdz i okopów. Melodia jej przez cztery lata płynęła nieprzerwanie po bulwarach, czcigodna tradycją marsylskich powstańców, urocza francuską lekkomyślnością zamiany rzeczy wielkich na wdzięk, silna potęgą rewolucyjnej młodości i lotna zarazem, niepodobna do żadnego z ciężkich, majestatycznych hymnów narodowych poza mazurkiem Dąbrowskiego, skoczną nutą optymizmu polskich legionistów.

Śmiał się do niej Paryż z wysokości Łuku Triumfalnego najpiękniejszą z ulic świata, złotymi blachami Inwalidów, czarem kwitnących Tuileriów i w jej rytm kazał maszerować najlepszemu żołnierzowi Europy, temu - któremu dano odpocząć dopiero w Compiègne. W ten dzień i w tę noc Marsylianka była piosenką i tańcem, szaleństwem i namiętnością, marszem triumfatora i serenadą zakochanego trubadura, wszystkiem - tylko nie dostojnym hymnem stu-milionowego imperium. Była tym, czym być miała - prawdziwą i autentyczną.

Tę drugą, fałszywą - spotkałem w kilkanaście lat potem. Było to w Tuluzie 17 czerwca 1940 roku. Staliśmy wtedy przed małą kawiarenką na "Boulevard de Strassbourg", gdy z głośnika radiowego padła zapowiedź przemówienia marsz. Petain, nowego premiera Francji. Na chwilę ucichły klaksony samochodów, bezładnie tułających się po jezdniach i umilkł bezdomny tłum, rozhisteryzowany gorączką ewakuacyjną i nowo-napływającymi plotkami o jakimś "odrębnym pokoju". Niestety nie były to plotki. Marszałek Petain oświadcza narodowi francuskiemu, iż zwrócił się do kanclerza Hitlera z prośbą o zawieszenie broni. Mówi powoli, boleśnie, poważnie, dramatycznie. Tłumaczy konieczność swego kroku, żebrze o zrozumienie, wyjaśnia. Zaręcza, że Francja pójdzie tylko na warunki honorowe.

Patrzę na słuchaczy, na kilkutysięczny tłum, skupiony przed głośnikiem kawiarenki. Twarze mdłe i bez wyrazu. Łzy w oczach starych i źle ukryte zadowolenie u młodych. U nikogo nie było momentu zaskoczenia bo każdy był w zasadzie na to przygotowany; nie myślano jednak, że to nastąpi tak szybko. Więc poto tylko wybrano nowy gabinet?

Gdy premier Francji skończył - jakiś podoficer splunął przed siebie, dopiął pasa i mruknąwszy "Ca-y-est!"- odszedł. Za nim ruszył tłum obojętny, nieco zażenowany ale bez głębszych oznak wzruszenia.

I wtedy z głośnika buchnęła Marsylianka. Katastrofalnie zgrana płyta, nadawana przez ostatnie tygodnie kilkanaście razy dziennie po każdym hiobowym komunikacie sztabu, zacinała się, zwalniała i przyśpieszała tempo, fałszowała rytm i melodię. Cały ból pieśni zdawał się emanować z tej nawpół pękniętej płyty, puszczonej ze skandaliczną niedbałością przez lekkomyślnego radiotechnika w chwili, w której Francja

żegnała się na długo z swymi ideałami na ruinach strzaskanych haseł demokracji, po utracie wolności, złamaniu braterstwa broni i niechęci do równości w walce i zwycięstwie. Dumne rycerskie akordy hymnu Rouget de l'Isla płakały poraz pierwszy w dziejach Francji jakimś histerycznym konwulsyjnym skowytem kopniętego dziecka, opuszczonego przez wszystkich i bezbronnego - jak Paryż trzy dni temu.

O tych dwóch Marsyliankach myślę dziś w 150 rocznicę narodzin tej przedziwnej pieśni o dwóch obliczach.

Jerzy Tepa

T i m e   b o m b.
Ciąg dalszy.

Powieść

-Właśnie! Tylko że...już nie pamiętam co, bo... - Patrzała po wszystkich bezradnie.- Nie wiem, co mi się stało. Pamiętam, że widziałam całkiem wyraźnie, a nie pamiętam co!

Asystent przypatrywał się jej z wielką uwagą.

-To zdarza się przy silnych wstrząsach - uspokoił ją.- Niech się pani tym nie męczy i opowiada dalej.

-No...no i nagle ten samolot wleciał w ciemno. I nic nie widać,tylko strasznie..."uuuu" co raz gorzej. No i nagle...-Zamknęła oczy i ciężko westchnęła opadając na poduszkę.

-Och!...

-Co?

-Nagle...Braknie mi jak powiedzieć...-Złożyła usta jak do gwizdania i próbowała naśladować gwizd bomby.-A potem...- rozczapierzyła palce, naśladując straszny wybuch. Z zadowoleniem stwierdziła, że nikt nie śmiał się z jej opowiadania. Widocznie wywołała wrażenie.

-Ale ja już nie słyszałam i nie widziałam tego, bo ja już nic!- mówiła dalej. -Tylko..czy ja wiem co..Ja już więcej nic! Ani jak długo, ani czy przysypana... Przedtem wiem i potem wiem, a w środku nic! Jakby mi wyrżnęli kawałek życia.

-No i co potem?

-I jak się zbudziłam, to szczepili mnie.

-Co robili?

-Morfinę szczepili. A może nie morfinę, bo po morfinie śpi się, a ja nie. Wcale nie.- Była rzeczywiście bardzo ożywiona i z trudem utrzymywała ręce w spokoju.

-A teraz? - spytał asystent, zainteresowany jej opowiadaniem.

-Jestem.

-I nic nie boli?

-Z początku byłam słaba, ale teraz jestem zupełnie.. To mogę już wstać?

-Może pani. -

Poderwała się z noszów i z tryumfem zwróciła się do Miss Violet.

-Acha! Mówiłam! Bo już nie mogę leżeć więcej. - Gdy jednak wstała, natychmiast z powrotem usiadła na noszach. - O!

-Co? Słabo pani? - zaniepokojony asystent podszedł do niej.

W odpowiedzi pokazała mu nogawkę rozdartą od kolana do samego dołu.

-Bomba!- wyjaśniła, żeby nie myślał, że chce pochwalić się swoją ładną nogą.- Nie ma z czego śmiać się - zwróciła się zmartwiona do wszystkich.- To jedyne ubranie, jakie mam teraz. Ma pani nurse igłę i

nitkę, proszę? Choć chirurgiczna, bo tak nie mogę wyjść przecie nawet pociemno.

-O, teraz pani nie wyjdzie.

-Jakto?! Ona znowu! Ja przecież muszę z piaskiem szukać przyjaciółki!

Asystent jednak stanął po stronie Miss Violet. Już podczas całego opowiadania zwrócił uwagę na jej nagłe przejścia od radości do smutku. Gdy śmiała się, śmiały się jej oczy, twarz i całe ciało, gdy coś ją zmartwiło, cała gasła.

-Wyjdzie pani jutro rano, jeżeli wszystko będzie w porządku.

-O jej! Całkiem zdrowa nie wytrzymam! Co tu robić będę?

-Obiecała pani pomagać mi - odpowiedziała Miss Violet, podając jej igłę i nici.

-Ma się rozumieć! Co robić?

-Może pani poda temu lotnikowi herbatę, bo sam nie może wziąć - zaproponował z niewinną miną asystent, oczekując jej reakcji. W najwyższym oburzeniu otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zabrakło jej słowa. Po polsku wiedziałaby, co odpowiedzieć!

-Ale zamiast cukru dam łyżeczkę cyjankali do tej herbaty - oświadczyła po namyśle powoli i dobitnie.

-O Jezu!

-Cicho!Sza! Może zrozumieć - uspakajała ją Mrs Karfunkel.

-Wanda zauważyła, że wszyscy śmiejąc się, patrzą gdzieś za nią,więc obejrzała się. W drzwiach sali operacyjnej stanął stary siwy pan, który nagle spoważniał, gdy na niego spojrzała.

-Pani jest Polką, panie profesorze - powiedziała Miss Violet.

Wanda zaskoczona wyprostowała się, jak uczennica w szkole. Potem przypomniała sobie o rozdartej nogawce, więc schyliła się, żeby ją przytrzymać.

-Polka? - zapytał ją profesor. Jakoś zabrakło jej głosu, więc tylko kiwnęła głową w odpowiedzi. Profesor - nie wiadomo dlaczego -zmartwił się.

-O...to nie dobrze.

-Ja żartowałam - wybąkała.

-Ja wiem, ale od wypadku - zwrócił się do Miss Violet - niech pani pochowa wszystkie trucizny.- Potem uśmiechnął się do niej.-My tu w Anglii od jakiegoś czasu nie podajemy już wrogom trucizny. Nawet w koloniach rzadko to robimy.

Wanda chciała odpowiedzieć, że w Polsce nikt tego nie robił, że przed wojną było Niemcom lepiej w Polsce niż w Niemczech, że ona sama w Poznańskiem napatrzała się na to, ale profesor odwrócił się już do drzwi.

-Poproszę państwa tam do pomocy, bo już skończyłem.

Asystent, Weber i Miss Violet wyszli posłusznie za nim a pacjenci zostali sami.

-Dziwni ludzie ci Anglicy - myślała Wanda.- Częściej powiedzą co dobrego o wrogach niż o sobie samych.

Rozdział 6.

-Niech tylko zobaczą ich blisko, tak jak my, to też będą dawali im truciznę - mruknęła, zabierając się do szycia.

-E, to się tak mówi. A jakby przyszło co do czego, nikt z nas nie potrafiłby otruć człowieka.- zauważyła filozoficznie Mrs Karfunkel.

-Ja nie potrafiłabym? - oburzyła się Wanda.- Ja widziałam w Polsce takie rzeczy, że...słowo daję...mogłabym otruć jak szczura!

Mrs White spojrzała zgorszona.

-Ale co winien taki, co robi na rozkaz - ujęła się za Niemcem.

-Temu nawet dobrze z oczu patrzy - dodała Mrs Karfunkel.

-A taki, co mu dobrze z oczu patrzy i tylko na rozkaz morduje, to nie morderca? Nie wolno mieć serca dla ani żadnego! - Wypowiedziawszy to credo odwróciła się i zobaczyła, że Niemiec miał twarz wykrzywioną bólem. Mimo wysiłków nie mógł powstrzymać się od cichego jęku.

-O jej! Boli go - syknęła i podeszła do niego.

Niemiec zamknął oczy i ciężko oddychał przez zaciśnięte zęby.

-Tak, zabolało go, widać - szepnęła ze współczuciem Mrs Karfunkel.

Wanda wcale nie zdawała sobie sprawy z tego, że stała nad nim, zacisnęła zęby i skrzywiła się, jakby ją samą bolało. Nie wiedziała nawet jak to się stało, że zaczęła mówić do niego.

-Boli? Boli? - pytała, wskazując na jego ramiona,bo nie rozumiał.

-O tak...-odpowiedział szeptem.

-Aż się spocił! -zwróciła się do Mrs White z oczami pełnemi łez.

-Bo on się poruszył.

-"Verboten" ruszać się, powiedział doktór!- przypomniała mu.

-On chciał wziąć sobie herbatę i ruszył ręką. Ja widziałam.

-Herbaty, herbaty - powtórzył Niemiec,który zrozumiał ten wyraz.

Wanda spojrzała zakłopotana na stolik. Herbata, mleko, cukier i ciastka stały przygotowane...

-Musi poczekać, bo nie ma nursy...

-Oj Boże, Boże...- westchnęła Mrs Karfunkel.

-Widać strasznie go boli - dodała po chwili Mrs White.

-No kiedy nie ma nursy...- Nie mogła przecie podać mu, kiedy przed chwilą tak się odgrażała.

Niemiec szeroko otworzył wyschnięte usta.

-Pić chce.

-Strasznie cierpi.

-On może zemdleć.

-Gorąca herbata ulżyłaby mu zaraz...

Wanda odeszła od stolika,"żeby ją nie kusiło". Trudno...Niemcy dobijają rannych i tak samo trzeba z nimi! W Polsce widziała takie rzeczy że teraz będzie zupełnie spokojnie patrzała, choćby umierał z pragnienia

Niemiec z trudem przełknął ślinę.

-Herbaty...- jęknął znowu.

-To chyba...dam mu już tę herbatę!-powiedziała nagle, wściekła na siebie. Spojrzała zawstydzona na swoje sąsiadki, ale obie dawały jej znaki zachęty.

-Tak, tak. Herbata...-szeptał Niemiec.

To jest straszne, myślała słodząc herbatę. Nie ma cyjankali i ja.. Za wszystkie ich okrucieństwa, za obozy koncentracyjne, za przymusową pracę, za masowe egzekucje, za...-o niektórych rzeczach nie mogła nawet myśleć - ja teraz...

Stanęła nad nim z herbatą, ale nie mógł ruszyć ręką, żeby ją podnieść do ust.

-Nie...Tak nie pójdzie.

-Musi pani klęknąć koło niego przy noszach.

-Do tego doszło - pomyślała, ale i to nie pomogło, bo nie mógł ruszyć głową.

-Musi pani unieść mu głowę.

-Trzeba wypić do dna kielich goryczy - dodała Mrs White, widząc,że Wanda zawahała się.

Innego wyjścia nie było, więc objęła mu głowę ramieniem i delikatnie uniosła, a drugą ręką przytknęła filiżankę do ust.

/Dalszy ciąg nastąpi/

<u>Antoni Cwojdziński</u>